

Józef Brancewicz

Białystok

Nazywam się Józef Brancewicz. Urodziłem się na Wileńszczyźnie, w miejscowości Pankiszki 12 sierpnia 1913 roku. Ukończyłem tylko sześć klas gimnazjum. Służbę wojskową odbyłem w 19-tym "palu". Ojciec miał dosyć duże gospodarstwo. W 1913-tym roku kupił od gen. Szymkowskiego taki majątek o pow. 40 ha.

Po powrocie z wojska mieszkalem na ojcowiznie, pracowałem na roli. W sierpniu 1939-go roku zostałem powołany do rezerwy do 55 "dal-u" /dywizjon artylerii lekkiej/, który stacjonował w Wilnie, tuż za "zielonym mostem". Powołano mnie na ćwiczenia, ale wybuch wojny sprawił, że do domu już nie wróciłem.

Nasza jednostka wojskowa wyruszyła /daty nie pamiętam/ w kierunku Białegostoku. Tu wyładowaliśmy się /przy okazji odwiedziłem moją siostrę, która tu mieszkała/ i ruszyliśmy pieszo do Białej Podlaskiej. Tu ponownie załadowaliśmy się na transport kolejowy i wyjechaliśmy do Warszawy. Tu prze nocowaliśmy i nazajutrz dowiedzieliśmy się, że mamy udać się do Lwowa. W czasie tego transportu zostaliśmy zbombardowani przez lotnictwo niemieckie w Kowlu.

Do samego Lwowa nie dojechaliśmy, gdyż Niemcy zajęli "Zamkówek". Wyładowaliśmy się na jakiejś stacyjce pod miastem. Dotarliśmy do rogatek miasta i tu musieliśmy otwierać sobie drogę atakiem na bagnety. Piechota nacierała na przedzie, a my - artyleria okładaliśmy ogniem artyleryjskim "Zam-

kówkę". Niemców wyparliśmy, weszliśmy do miasta i tu przez dwa tygodnie walczyliśmy z nimi. Wszystkie ataki niemieckie zostały odparte dlatego, że wycofujące się z zachodu w kierunku Lwowa wojska polskie posiadały silną artylerię. Bardzo dobrze spisywały się niewielkie działka przeciwpancerne - "pieski".

Niemcy wyjątkowo zacięcie ostrzeliwali Lwów z ciężkiej artylerii. Myśmy walczyli systemem: trzy dni na froncie i trzy dni w odwodzie. Dowodziłem drużyną łączności. Do moich zadań należało nawiązywanie łączności radiowej i telefonicznej.

W czasie walk zupełnie przypadkowo spotkałem swojego kolegę z lat dziecińczych. Był oficerem i nazywał się Witold Mackiewicz. Dowodził batalionem "Dzieci Lwowskich". Był absolwentem gimnazjum w Święcianach oraz Politechniki Warszawskiej. Nasi rodzice bardzo się ze sobą przyjaźnili.

Odchodząc do odwodu dotarłem z żołnierzami do miasta i skierowałem się do bramy. Ludność kryła się w piwnicach, ponieważ Niemcy zaciekle atakowali miasto. U wejścia do schronu stał funkcyjny, Żydek, który przyjął nas bardzo niechętnie. Twierdził, że dla wojska nie ma tu miejsca. Byłem stanowczy, gdyż na tym podwórku były drzewa i można było nas zamaskować przed lotnictwem niemieckim.

W mieście działali szpiedzy ukraińscy, informujący Niemców o ruchach naszych wojsk. Kazałem zaprowadzić się do schronu, w którym zebrani Żydzi modlili się. Mój przewodnik powiedział, że modły odbywają się przez trzy dni na specjalne zarządzenie rabina w intencji, aby Niemcy nie weszli do Lwowa. Nie chciałem naruszać modlitewnego nastroju i wyszedłem.

Po jakimś czasie znalazłem się na punkcie obserwacyjnym, zamaskowanym w kukurydzy. Był świt. Zupełnie nieoczekiwanie, nagle, artyleria niemiecka przestała strzelać. Zapanała przejmująca cisza.

Wkrótce ukazała się eskadra samolotów, kierująca się na nasze pozycje. W tym czasie w naszych oddziałach obowiązywało grupie zarządzenie zakazujące otwierania ognia do samolotów, ponieważ jakoby tysiąc alianckich samolotów miało wkrótce przybyć nam z pomocą. Ponieważ już switało, spojrziałem przez lornetkę i zauważyłem czerwone gwiazdy. Byliśmy tym zupełnie zaskoczeni. To było chyba 21-go września. Myslny nadal nic nie wiedzieli, że oni siedemnastego września przekroczyli naszą granicę.

Samoloty wykonały nad nami krąg i posypały się ulotki. Wkrótce ziemia wokół nas zrobiła się biała. Ulotki były pisane po rosyjsku, którego nie znałem. Jeden z moich żołnierzy znał rosyjski i przetłumaczył: "Towarzysze, nie przelewajcie krwi za kapitalistyczne państwo. Rzucajcie broń i przechodźcie na naszą stronę". podpisał Timoszenko.

Gdy wiadomość o tym rozeszła się, nadszedł rozkaz zwinienia pozycji z zachodnich rogatek miasta i przesunięcia się na pozycje ~~za~~ wschodnie. Przejechaliśmy ul. Lyczakowską na front wschodni. Stanęliśmy w odległości 7-8 km od Lwowa, w miasteczku Winniki zamieszkałym przez Ukraińców.

Dowódcą baterii Był Kwiatkowski, rezerwista, profesor, który wydał mi rozkaz, abym sprawdził zapasy amunicji, bo przecież ruszamy na Związek Radziecki. Okazało się, że zapasy są niewy-  
~~kie~~kie.

Do Winnik nie doszliśmy. Wkrótce napotkalismy poważne



siły sowieckie w postaci kilkuset czołgów. Nie podjęliśmy walki i zaczęliśmy wycofywać się w stronę Lwowa. Po drodze spotykaliśmy auta przeważnie z generalicją, kierujące się w stronę Rumunii.

Zatrzymaliśmy się na jakimś placu przykościelnym przy ul. Łyczakowskiej. Tu okazało się, że gdzieś przepadli nasi dowódcy. Zaczął się bałagan: rzucanie broni i ubrania wojskowego, rozbijanie kasy, bezprawie. Zostali tylko podoficerowie.

Udałem się do jakiejś szkoły, gdzie wg. informacji było jakieś dowództwo i zobaczyłem, jak oficerowie zrzucają dyktynki i pośpiesznie siadają do aut. Wtem podeszedł do nich patrol piechoty, w hełmach i usłyszałem: Panowie, sprzedaliście Polskę. Trzeba walczyć do ostatniej kropli krwi.

W pewnym momencie na plac wpadł ułan z okrzykiem: panowie, Sowietci nadchodzą. Ich czołgi są już na ul. Łyczakowskiej.

Natychmiast, zgodnie z regulaminem, zaczęliśmy niszczyć broń i sprzęt. Krótce nadjechał pierwszy czołg sowiecki. W tym czasie z pobliskiej wieży rozpoczęto ostrzał Sowietów. Strzelano z broni maszynowej. Prawdopodobnie byli to podpici żołnierze. Wcześniej bowiem rozbito słynny browar Baczewskiego i wielu sobie podpiło. Na ten ostrzał Rosjanie odpowiedzieli ogniem czołgowym a następnie otoczyli nas. W jednym z czołgów uniosła się kłapa, ukazał się jakiś oficer i powiedział, żebyśmy wszyscy rzucili broń i szli w kierunku wschodnim, ulicą Łyczakowską. Tak też zrobiliśmy.

Tu muszę podkreślić wdzięczność mieszkanki Lwowa. Kiedy wkraczaliśmy do miasta, one nas spotykały z kwiatami, cukierkami i t.p. Teraz, gdy wychodziliśmy, młode uczennice dawały

nam papierosy i inne datki. Wśród oficerów zdarzały się wypadki samobójstw.

Kiedy szliśmy, po lewej stronie, na podwórku jakiegoś gimnazjum przy ul. Łyczakowskiej, zauważyłem stojącego Witka Mackiewicza. Do tego punktu Rosjanie kierowali tylko oficerów na podstawie dystynkcji. Gdy chciałem do niego podejść, strażnik początkowo nie zgadzał się, dopiero gdy powiedziałem, że tam widzę brata, zezwolił.

Podeszedłem do Witka i powiedziałem, żeby zrzucił szlify oficerskie i szedł z nami jako prosty żołnierz, pomożemy mu ukryć się. On po dłuższym namysle powiedział, że jednak zostaje. Tu z nim jest dowódca pułku a nawet brygady a poza tym istnieją przecież konwencje międzynarodowe. Dopiero później miało okazać się, że w tym czasie Sowieci żadnej konwencji nie podpisali.

Byłem bez dystynkcji gdyż wcześniej nas uprzedzano, że podoficerów, którzy dostaną się do niewoli niemieckiej, spotykają wyjątkowe represje. Dlatego podawałem się jako szeregowy.

Za miastem, gdzie zgromadzono kilka tysięcy jeńców, podeszli do nas "bojcy" i zaczęli zrywać nam pagony i deptać je wyzywając nas od kapitalistów. Wkrótce kilkoma samochodami nadjechało dowództwo i jeden z nich zaczął szydzić, że jesteśmy bezbronni dlatego, że wcześniej oni /Rosjanie/ budowali tanki a my tańczyliśmy tanga. Następnie oznajmił nam, że mamy iść do Równego, tam dostaniemy dokumenty i pojedziemy do domu.

Gdy dotarliśmy do Równego, było tam kilka tysięcy wojska.

Tu nas podzielono na drużyny, zaprowiantowano / z magazynów polskich, dobrze zaopatrzonych/ i zostawaliśmy tu przez kilka dni. W tym czasie z naszego tłumu wybrano wielu oficerów. Byliśmy na terenie koszar. Oficerom dano ordynansów i dobre<sup>e</sup> zaopatrzone.

Po jakimś czasie przybyło wyższe dowództwo, kazało nam stanąć na placu ćwiczeniowym i powiedziano, żeby spośród nas wystąpili oficerowie. Nikt nie wystąpił. To ich wyraźnie zdenerwowało. Kazano nam zdjąć czapki i wszystkich z długimi włosami uznano za oficerów. Na tym tle dochodziło do komicznych sytuacji: obok stał ordynans porucznika, który uciekł. Ordynans nałożył jego buty oficerskie i to przesądziło o tym, że zakwalifikowano go jako oficera. Innym sposobem wykłuskiwania oficerów było sprawdzanie rąk: delikatne ręce miały świadczyć o tym, że należą one do inteligenta to znaczy do oficera.

Wyselekcjonowanych odłączono od nas i skierowano w niewiadomym kierunku. Nam zaś powiedziano, że niestety, nie przyjechali ci, którzy mieli wydać nam dokumenty i dlatego musimy iść do Szepietowki. Tym otrzymanymi dokumenty. Wiedziałem, że Szepietowka jest stacją nadgraniczną i tym samym domyśliłem się, że nie o dokumenty tu chodzi lecz o wywiezienie nas do Rosji.

Ruszyliśmy w kolumnie. Co 5 km zarządzano odpoczynek. Ze swoimi podejrzeniami podzieliłem się z najbliższymi kolegami. Na następnym postoju uciekliśmy, korzystając z pobliskiego pola kukurydzy. Było nas trzech.

W pierwszej chwili postanowiliśmy uciekać do Rumunii, bo tam wszyscy uciekali a tak przynajmniej mówiono. Po drodze



trafiliśmy do zabudowania czeskich kolonistów którzy uprzedzili nas, że przejście granicy z Rumunią nie jest możliwe, gdyż Rosjanie dokładnie ją obsadzili.

Zdecydowaliśmy się iść pieszo do Wilna. Ukraińcy napotykanych żołnierzy mordowali. Jeden z nas miał 10 pudełek konserw. Szliśmy nocami dzięki busoli, nie musieliśmy pytać o drogę. Dniami warowaliśmy w ukryciu. Ujawniliśmy się dopiero na Polesiu, chociaż omijaliśmy wszelkie drogi. Doszliśmy do Nowogródka i tu przenocowaliśmy u jakiegoś nauczyciela, który był dla nas życzliwy. Powiedział, że Sowietci już nikogo nie aresztowują, w Baranowiczach kursują pociągi.

Byliśmy wyczerpani po dwutygodniowej podróży. Poszliśmy do Baranowicz, gdzie na stacji zastaliśmy ok. 200 polskich żołnierzy. Nagle jeden z kolejarzy powiedział, że jesteśmy otoczeni. Tak było istotnie. /Moi towarzysze podróży nazywali się Ram i Płociennik/. Jeden z oficerów sowieckich kazał nam posegregować się w grupy wg. kierunków jazdy do domu, gdyż wkrótce nadejdą pociągi. Podzielono nas na grupy: Warszawa, Pińsk, Wilno i td.

Wieczorem podstawiono towarowy pociąg i ładowano do wagonów po 30 osób nie zwracając<sup>waga</sup> na grupy. Stało się jasne, że do domu nie pojedziemy. Wagony zaryglowano.

W moim wagonie trafił się Żydek z Warszawy. Wagon znajdował się po środku składu. Zdemonstrowaliśmy jeden pretekst tak, że przez uchyloną dzięki temu klapę człowiek mógł wyjść na zewnątrz. Pilnowały nas posterunki, ale już była szarówka. Żyd wyszedł na zewnątrz przez klapę, szybko odryglował nasz wagon, myśmy szybko uchylili drzwi, przez które on wszedł do środka, drzwi zasunęliśmy ale już wagon nie był zaryglowany od

zewnątrz. Wystarczyło otworzyć drzwi od środka i można było uciekać. Czekaliśmy tylko sposobnej pory.

Pociąg ruszył w kierunku Stołpców, do Rosji. Było ciemno, pociąg wjechał do lasu i nasz cały wagon wyskoczył. Ochrona coś musiała zauważyć, gdyż padł strzał, ale pociąg nie zatrzymał się.

Ruszyliśmy we trójkę wg. busoli, pieszo dotarliśmy do Woronian. Szliśmy przez Nowogródek, koło jeziora Świtez. W Woronianach mieszkał mój szwagier, nauczyciel. /Później był wywieziony z rodziną do Rosji. Przed dwoma laty zmarł w Warszawie/.

Wróciłem do domu, do Pankiszek. Stąpiłem do AK, byłem w Brygadzie "Kmica", który później został niecnie rozbrojony przez Markowa, którego znałem osobiście: wcześniej był polskim nauczycielem, stał na czele sporego zgrupowania partyzanckiego. Początkowo przyjaźnił się z "Kmicicem".

Mój zaścianek był położony wśród lasów i świetnie spełniał rolę punktu konspiracyjnego. Znałem osobiście "Łupaszkę". W odległości trzech kilometrów był majątek Szajkuny, w którym mieszkali państwo Swolkinowie. Pierwsza żona Łupaszki była Swolkinówna z domu. Jej brat, "Szaszka", też był dowódcą partyzanckim.

Byłem instruktorem wojskowym w tych brygadach. W konspiracji czynnie nie występowałem ale szkoliłem rekrutów, którzy najczęściej nie mieli pojęcia o wojsku.

Nie uczestniczyłem w akcji "Ostra Brama". Był tam natomiast mój brat, który dowodził oddziałem "Szczurby", miał na imię Marian, już nie żyje.

Miałem pseudonim "Czarna jaskółka". Brygada "Kmicica" orga-



nizowała się w okolicy Świru i Dobrzynia. Do niej należało wielu moich przyjaciół z gimnazjum. Podstawowa baza brygady była koło Kobylnika, w sąsiedztwie bazy sowieckiej. Natomiast obok bazy sowieckiej była baza Markowa. Był nauczycielem w Święcianach, zajadły starowieś, przeszedł wcześniej przeszkolenie w Moskwie.

Kiedys nawet byłem w brygadzie Markowa. Otóż w miejscowości Łodziszki było silne zgrupowanie niemieckie. Markow otrzymał polecenie zdobycia tej miejscowości. Próbował kilkakrotnie i bez powodzenia, chociaż był świetnie uzbrojony. Miał swoją bazę k. jeziora Marocz, w której lądowały samoloty sowieckie z zaopatrzeniem. Myśmy natomiast dysponowali jedynie bronią zdobytą na Niemcach. Ze względu na bliskie sąsiedztwo musiały ze sobą współpracować, miały nawet wspólne hasła dla posterunków.

Pod Łodziszkami Markow skoncentrował poważne siły ale nie osiągnął sukcesu i zwrócił się do Kmicica, aby ten mu pomógł. W tym czasie współpraca istniała do tego stopnia, że Markowa ludzie odwiedzali brygadę "Kmicica" 3-go maja a ci rewanżowali się 1-go maja. Odbываły się przyjęcia. Na ten temat istnieją różne wersje. Opowiadam wersję, którą sam przeżywałem. "Kmicic" był kapitanem czwartego pułku ułanów, nazywał się Burzyński. Znakem jego żonę Basię, była z Wilna. "Kmicic" był bardzo ambitny i powiedział do Markowa, że sam Łodziszki zdobędzie.

Myśmy w Łodziszkach mieliśmy świetną siatkę wywiadowczą i właściwie wszystko o umocnieniach niemieckich wiedzieliśmy. W dzień targowy większość naszej brygady wjechała do miasta przez bez przeszkód i zakonspirowała się na

strychach. O godzinie 12-tej Łodziszki zostały okrążone i na sygnał rakiety ruszono do szturm od zewnątrz i od wewnątrz. W trzy godziny Łodziszki zostały zdobyte.

Trofea wojenne załadowano na sto furmanek: amunicja, broń, produkty i dzięki temu nasza brygada znacznie się rozbudowała. Wziętych Niemców musieliśmy rozstrzelać, bo nie było sposobu, co z nimi robić.

Markow miał kontakt z Moskwą a jednocześnie na naszym przykładzie widział, że Polacy opanowują tereny. Otrzymał rozkaz zlikwidowania polskiej partyzantki. Dokonał silnej koncentracji a jednocześnie zaprosił całe dowództwo od "Kmicica" na naradę <sup>va</sup> gdyż dowiedział się, że nagle zaistniało nagłe zagrożenie ze strony Niemców. Na wspólnym spotkaniu miały być opracowane ustalenia wspólnych przedsięwzięć. Nasi oficerowie pojechali.

Zostali aresztowani przy stole. Pozostałe siły Markowa otoczyły naszą bazę. Ponieważ nie było oficerów, naszych rozbrojono. W tym czasie oddział konny pod dowództwem chyba "Żbika" /wcześniej upozorowaliśmy jego uprowadzenie niby to przez partyzantów radzieckich/ pojechał do Wilna do Łupaszki, który w tym czasie miał zastępować "Kmicica". Akurat wracali razem z Łupaszka do bazy w Kobylnikach. Na szczęście wysłali przedem patrol, który został ostrzelany. Wówczas dowiedziano się o tej tragedii.

Podobno całe dowództwo wywieziono samolotem do Moskwy. Ale miało okazać się, że istniała też jakaś grupa litewska, która współpracowała z Markowem i dla niej przekazano "Kmicica" i jego kolegów. Litwini ich rozstrzelali a z "Kmicica" podobno zdzierano skórę.

W tej sytuacji Łupaszko wycofał się i zaprzysiągł zemstę. Zaczął organizować swoją brygadę. Rezydował w Pankiszkach. Doszedł do stanu 2000 ludzi, dobrze uzbrojonych.

W czasie akcji "Ostra Brama" "Wilk" okazał się być człowiekiem bardzo naiwnym. Opowiadał mi kolega, że "Łupaszko" odmówił udziału w tej akcji. W czasie odprawy wyższych dowódców miał powiedzieć do "Wilka": panie generale, może mnie pan rozstrzelać, ale ja do tych rozkazów nie zastosuję się. Nie wierzył Sowietom i u ich boku nie zamierzał walczyć.

Zostałem w Pankiszkach /po akcji "Ostra Brama"/. W tym czasie wkroczyli Rosjanie, zorganizowali NKWD i przystąpili do rozprawy z akowcami. Część agentów z AK przeszło na ich stronę. Działy się okropne rzeczy. Zacząłem się ukrywać. Dokonano pierwszej rewizji w moim obejściu. Wówczas we trójkę: ja, mój bratanek i podoficer Tarasewicz zbudowaliśmy w lesie schron. Zależało nam na tym, aby przetrzymać pierwszy okres, gdyż mieliśmy otrzymać "lewe" dokumenty z Wilna. Tymi sprawami zajmował się oddział por. Stankiewicza. Długo w ziemiance siedzieć nie mogliśmy.

Miałem wujenkę, studentkę Uniwersytetu w Wilnie, która miała 20 lat i wyszła za mojego wujka, który miał lat 60 i był starym kawalerem. Prowadziła towarzyski tryb życia a wujek jej na to pozwalał. Miała na imię Janka. W tym czasie jeden z byłych akowców, obecnie agent NKWD przywdział ~~mundur~~ mundur sowiecki i jeździł z NKWD w terenie. Wydawał wielu ludzi. Ten oddział przebierał się czasem w mundury polskie, ale wówczas rozmawiał tylko on, bo dobrze znał język polski. /On już nie żyje, mieszkał kiedyś w Białymstoku, był nawet w moim domu, bo go w pierwszej chwili nie poznałem/.



Następnym razem przyszli do wujenki, przebrani w polskie mundury. Ona ich przyjęła z radością jako Polaków. Zapytali o mnie na co wujenka powiedziała, że ja się ukrywam ale tu czasem bywa<sup>n</sup>. Oni powiedzieli, że mają do mnie ważną sprawę z Wiła, z podziemnej organizacji.

To działo się latem. Oni poszli spać a na warcie postawili wujenkę, dając jej pusty karabin. A my z bunkra akurat w tę noc postanowiliśmy przyjść do niej. Na szczęście trafiliśmy na wujenkę. Przyszliśmy do północy, omijaliśmy drogi. Wujenka powiedziała, że to są Polacy. Ale my byliśmy ostrożni gdyż wiedzieliśmy, że w pobliżu ~~ma~~ w majątku Sosnowiec właściciel przyjął grupę "Polaków", którzy najedli się, poprosili o wskazanie drogi i w pobliżu <sup>domu</sup> właściciela zastrzelili strzałem w tył głowy.

Wujenka zapewniała, że to Polacy. W pierwszej chwili pomyślałem, że może wreszcie dostarczono mi dokumenty. Ale coś mnie tknęło: powiedziałem wujence, żeby nie mówiła im, że my tu byliśmy. I wycofaliśmy.

Rano oni powiedzieli, że boją się Sowietów i że pojdą do pobliskiego lasu. Gdy ja się zjawię, koniecznie muszę do nich tam przyjść. Oczywiście nie przyszedłem. Oni w końcu poszli. Po tygodniu przyjechali ci sami ale w mundurach sowieckich. Wujenkę aresztowano i osadzono. Ona wydała też nasz drugi schron, przypadkiem. Mieścił się w piwnicy pod podłogą, w mieszkaniu. Ze schronu prowadziło wyjście do sadu.

Nadeszła zima a my nadal byliśmy w schronie w lesie. Czekaliśmy na dokumenty. 18-go stycznia 1945-go roku postanowiliśmy pójść do domu i wykąpać się. Tu zaskoczyła nas obława. Ukryliśmy się w schronie piwnicznym, ale o tym schronie

poszukujący nas wiedzieli. Zostaliśmy aresztowani. Zaprowadzono nas do pobliskiego miasteczka /5 km/, gdzie mieścił się rejonowy sztab NKWD. Gdy tam siedziałem związany, podszedł do mnie konfident i szyderczo powiedział: tak, panie Brancewicz, to już koniec.

Zaczęła się gehenna. Skierowano mnie do Świra, gdzie przez trzy miesiące byłem na śledztwie. Tam wyszło na to, że mnie pomyłono z brygadą brata, Mawiana Brancewicza. W czasie tego śledztwa byłem bardzo często bity, katowany. Trzymano nas w piwnicach. Nad nami były pomieszczenia milicyjne. Milicjantami - jak jeden - byli miejscowi Żydzi. Kiedyś podszedł do mnie jeden z nich, z którym razem chodziłem do szkoły, nazywał się Siomka Cyrberowicz - zerwał mi medalik i rzucił mi go w twarz.

Podczas pobytu zetknąłem się praktycznie ze "Ścieżką zdrowia", którą nam urządzano na drodze do ubikacji. Z nami był staruszek, Uszacki, którego syn ożenił się z moją siostrą, teraz są w Kanadzie - to jego zamężono.

Następnie trafiłem do Oszmiany - 70 km pieszo. Tam była siedziba rejonu i więzienie. Po drodze nas bito, tratowano i znęcano się na różne sposoby. Tę trasę - 70 km pokonywaliśmy trzykrotnie: tam i z powrotem. Po raz ostatni szliśmy tą drogą w maju 1945-go roku. Akurat dochodziliśmy do Oszmiany, kiedy wiwatowano zakończenie wojny. Czuliśmy się w tej sytuacji strasznie. Ironia losu.

Po jakimś czasie do Oszmiany przyjechał Wojenny Trybunał z Mołodeczna /w Mołodecznie mieściła się obłast/. Do mojej sprawy dołączono jeszcze dwóch innych, m.in. mojego bratanka, który ukrywał się. Wszyscy otrzymaliśmy wyroki po 10 l.

wojenny Trybunał skazał nas na dziesięć lat "dalonnych" obozów, konwiskatę mienia a następnie zsyłkę - 5 lat.

Z Oszmiany musieliśmy iść 20 km do stacji pod konwojem. Tu załadowano nas do pociągu i wywieziono do Orszy. Tu siedziałem 9 miesięcy. Tu zjeżdżali się przedstawiciele najróżniejszych fabryk, budów i zakładów z całego Związku Radzieckiego. Niby jakaś komisja lekarska, myśmy ich nazywali kupcami, którzy przyjeżdżali kupować siłę roboczą. Rzeczom badania lekarskie polegały na tym, że komisja sprawdzała mięśnie.

Warunki w Orszy były straszne. W salach jednocześnie przebywało po 300 osób. Po jakimś czasie dołączyli do nas tych wojskowych, którzy nieco wcześniej zdobywali Berlin. Byli to najczęściej ludzie obwieszani medalami. Zaczął się organizować ruch "urków". Zaczęły się rabunki przy współpracy administracji więziennej. Okradano nowoprzybywających więźniów a uzyskane tą drogą rzeczy sprzedawała administracja więzienna.

W sali wyraźnie się panoszyli. Swoją teren określili na podłodze węglem i mieli wygodnie, gdy w tym czasie my tłoczyliśmy się na niewielkiej przestrzeni. Było duszno a tylko jedna parasza na trzysta osób. Wnoszono ją tylko raz. w ciągu dnia.

W Orszy nie miałem szczęścia. Chciałem jak najszybciej wydostać się stąd, ale żadna komisja mnie nie zabierała. Zapadłem na zdrowiu. Znalazłem się w "słabosilce" wśród umierających. Wreszcie wszystkich "dochodiagów" zebrano i skierowano do tzw. Obozu śmierci, który mieścił się w Nowosadach. Było to 8 km od Borysowa. Wśród nich znalazłem się i ja. Było



tam nas ok. 7 tysięcy. Obok były kobiety.

Ponieważ obóz musi być samowystarczalny, należało zorganizować brygadę roboczą. Trzeba było starać się o wodę, drzewo, zbudować łaźnię, zakład krawiecki, piekarnię i t.d. Praca była obowiązkowa.

Tu natrafiłem na Masarnowskiego, tego samego, w którego mieszkaniu prowadziłem swoje zajęcia instruktorskie w konspiracji. On, w czasie śledztwa mocno zbity, wyspał mnie o przynależności do konspiracji. Teraz przyznał się do tego bardzo mnie za to przeproszał. Wybaczyłem mu to, bo sam wiedziałem, co to znaczy śledztwo.

Brygadę nazywano "brygadą śmierci", gdyż mieliśmy otrzymywać dziennie 150 gramów chleba. Okazało się, że w obozie umierało dziennie 40 osób, którymi należało się zająć. Każdego trupa rozbierano do naga i wrzucano do wyznaczonej szopy. Pracować musiał każdy, bo w przeciwnym razie kierowano do karceru, w którym po dwóch godzinach ludzie umierali.

O godzinie 12-tej budzono nas - "brygadę śmierci" - i poszliśmy do pracy. Przed szopą stały "narady" - dwie żerdzie, do których był zaprzęgnięty był wół. Na tym powozie woziliśmy trupy. Przed wywiezieniem za bramę wartownik przebił szpikulcem każdego trupa. Dalej wozik już człowiek bez konwoju.

Nazajutrz cała brygada śmierci szła do lasu, w którym składowano trupy. Tam kopaliśmy doły, składaliśmy ciała, zasypanyśmy wapnem a następnie ziemią. I tak pracowaliśmy co noc. Kiedyś powiedziałem do kolegi, że już dłużej nie wytrzymam. Na następną noc odmówiliśmy obaj wyjścia do pracy. Powiedzieliśmy, że jesteśmy chorzy i musimy iść do lekarza.

Rano wezwał nas naczelnik i wyzywając zapytał, dlaczego nie poszliśmy do pracy. Odpowiedziałem, że mogę pojsć do karceru ale takiej pracy wykonywać nie mogę. W rezultacie skierował nas do brzoły "razkarczowki", która rąbała pnie po ściętych drzewach. Pozyskane w ten sposób drzewo było przeznaczone na opał. A praca była bardzo ciężka zaś nożmy wysokie.

Pewnego dnia wezwano mnie z rzeczami. Tak wezwano grupę ok. 10-15 osób. Wyszliśmy pod konwojem po uprzedzeniu, że najmniejsze zboczenie z trasy spowoduje, że konwoj będzie strzelał. Doszliśmy do wagonu na bocznicy, do którego nas załadowano. Wagon był przystosowany do przewożenia więźniów. Kiedy poprosiliśmy konwojenta o wodę, ten grożący nam automatem zaczął wyzywać nas od faszystów. Było to dla nas wyraźne ostrzeżenie: skoro konwoj tak jest do nas usposobiony, to czeka nas coś bardzo niedobrego. A konwojentem był żołnierz o skośnych oczach, Azjata.

Z każdą chwilą byliśmy coraz bardziej przekonani, że jedziemy na rozstrzelanie. W pewnej chwili dowódca konwoju zapytał o Wołkova, który był akurat w naszym przedziale. Gdy ten odezwał się, dowódca zaczął go wyzywać jako zdrajcę, który z Niemcami mordował Rosjan. Ten nie zaprzeczał. Zaczęła się dyskusja, bo Wołkow służył chyba w armii Własowa. W pewnym momencie Wołkow zapytał, jaka w końcu jest różnica między Stalinem a Hitlerem? Dowódca aż chwycił za kaburę. Spodziewałem się najgorszego.

Dowódca zorientował się, że inni słuchają, stwierdził, że Wołkova nawet śmierć nie zmieni i odszedł. A Wołkow mnie zainteresował. Okazało się, że Wołkow uważa się za Polaka. Jego ojciec w 1918 roku osiadł w woj. lwowskim. On, mój rozmówca, był

synem popa, skończył Uniwersytet Lwowski. Należał do jakiejś organizacji, która miała kontakty zagraniczne, m.in. z Rosją. Przed samą wojną wyjechał do Niemiec i wstąpił do armii niemieckiej, był oficerem. . . czasie wojny doszedł do Linska, gdzie trafił na swoją siatkę. Aresztowany i osadzony przez Niemców w więzieniu, dostał się do niewoli sowieckiej. Radziecki kontrwywiad działał wspaniale i doskonale jego znał. Został skazany na karę śmierci, którą zamieniono na 20 lat.

Wreszcie wagon ruszył. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Pojawiły się głosy, że jedziemy na daleką północ. Jednak przywieziono nas do Smoleńska a następnie do Gniastkowa i tu staliśmy przez całą dobę bez jedzenia i picia. Było to obok Katynia.

Wówczas jeden z Rosjan powiedział: źle z nami. Tu gdzieś w pobliżu jest Kątyń.

Po upływie doby przywieziono nas do tego samego obozu. Później zaprzyjaźniłem się z Wołkowem, który pracował w szpitalu. Zawsze dzielił się ze mną chlebem. On stanowczo twierdził, że nas tam zawieziono na rozstrzelanie. Rosjanie dokonują selekcji więźniów, których likwiduje specjalny korpus składający się z Uzbeków.

Podobną "przygodę" przeżyłem jeszcze raz. I z tej sytuacji wyszedłem z życiem. Było to k/Mochylowa. Był to opuszczony obóz w lesie. Ugotowaliśmy pierwszy posiłek. Siedzieliśmy w tym obozie przez kilka dni. Jakiś Rosjanin powiedział, wskazując na pobliski las, że tam leży "mnogo" polskich oficerów. Natomiast w tym obozie oni byli przetrzymywani i dlatego obóz teraz jest pusty. Z nami jest źle.



Tak spędziliśmy trzy dni. Byliśmy cały czas głodni. Na czwarty dzień podzielono nas na pięćdziesięcioosobowe grupy / w sumie było nas ok. 300- / i wypędzono nas poza miejsce obozowania. Sądziliśmy, że to już nadeszła chwila ostateczna. Pędzono nas nie szosą, lecz nad samym Dnieprem. Gdy dotarliśmy nad rzekę, rozległa się komenda: "łożys, faszysty". Położyliśmy się w błoto. Kto się ociągał, był przygniatał kołanami. Zaczęto nas nas bić. Następnie poderwali nas do biegu. Po 15-tu minutach sytuacja powtórzyła się.

Już nie pamiętam, ile, przez ile kilometrów nas tak goniono. Wreszcie dotarliśmy do wagonów, do których nas załadowano i zawieziono do tego samego obozu.

Uważam, że wieziono nas na rozstrzelanie, ale w ostatniej chwili rozkaz odwołano. Podobno to miało jakiś związek z trwającym wówczas procesem norymberskim. Tak to zdarzenie komentował Wołkow. Ja w to wierzę całkowicie i uważam, że oni chcieli zamścić się.

Kiedys zetknąłem się w obozie z więźniem, który wcześniej był konwojentem więźniów. Mówił, że konwojentów odpowiednio nastawia się do więźniów mówiąc, że są to odrażający przestępcy. Dlatego konwojenci, gdy okazało się, że nie mogą nas rozstrzelać, ganiłi nas po błocie. Dlatego często myślałem o tym, żeby kiedys jeszcze wybrać się do Mochylowa i odnaleźć te groby chociaż wątpię, czy to jest możliwe po tylu latach. Bo tam obóz oficerski był z całą pewnością.

Z Mochylowa pojechałem do Połmy, na czternasty punkt. Przypominałem sobie kolegę, który teraz kończy życie w Mysłakowicach. Był tam z żoną. Ja im nawet dawałem "ślub" na Syberii. Była to ciekawa historia. Kiedy nas zawieziono samo-

molotami do miejscowości Teja/jechaliśmy przez Krasnojarsk, Jenisiejsk - tu czekaliśmy przez dwa tygodnie na "lotną" pogodę, następnie do Siewierjenisiejska/. Od Jenisiejska jechaliśmy bez konwoju. Byłem tam tylko z jednym Polakiem, Stefanowiczem, który był legionistą, obecnie żyje i ma 91 l. mieszka w Słupsku.

W kantorze skierowano mnie do miejscowości Bierezowy Klucz. Stefanowicz poprosił o tę miejscowość i otrzymał tu skierowanie. Nic nie wiedzieliśmy o tej miejscowości. Po jakimś czasie przyjechało ok. dziesięciu san. Tym zestawem kierował skosnooki Uzbek i zawołał, żeby kierowani do tej miejscowości siadali.

Było nas ok. 15 osób, w tym kilka kobiet /Litwinki i Ukrainki/. Było bardzo zimno, grudzień. Tam nie było żadnych dróg. Po nas sanie przyjechały rzeką, zamarznąętą do dna. Jechaliśmy po śladach zostawionych przez sanie, kiedy jechały po nas.

Jechaliśmy w nieznane. Na pytanie Stefanowicza Uzbek pokazał na palcach, że wieczorem będziemy u celu. Gdy dojechaliśmy na miejsce okazało się, że stoi tam kilka domków, dwa baraki i to wszystko. Była tam "stołowa", sklep, aXto wszystko w tajdze w pobliżu fantastycznych gór. W pobliżu płynęła niewielka rzeczka, która była dopływem Tei.

Wieczorem otrzymaliśmy jedzenie. Ale kiedy poszliśmy tam nazajutrz rano, kucharz - Chinczyk nie chciał nam dać jeść. Naczelnika, Iwana Iwanowicza chwilowo nie było, gdyż pojechał do miasteczka Tei do dyrekcji w sprawach służbowych. W jego imieniu przedstawił się kierownik sklepu i oświadczył, że ma polecenie zaopatrzyć nas w pościel i zakwatero-

wać. Powiedział też, że na dzisiejszy dzień jesteście zakwaterowani na koszt państwa. Ale od następnego dnia przechodzimy na własny rozrachunek. Bliższe sprawy na temat warunków naszego pobytu omówi z nami po ~~pr~~wróceniu kierownik.

Po ~~ko~~ obiedzie każdy z nas otrzymał materac, prześcieradło i poduszkę napchaną sianem. Zamieszkaliśmy w baraku, który nazywano hotelem roboczym. Były tam łóżka, wybite okno oraz dwa sprawne, żelazne piecyki. Kobiety zakwaterowano w innym baraku.

Spaliśmy do następnego dnia do godz. 10-tej rano. Nikt nas nie budził. Mnie obudził dopiero kolega: "wstawaj, Sybiraku, pójdziemy na śniadanie". Gdyby naszego pomieszczenia były zamrożone całkowicie.

W stołówce zastaliśmy kucharza - Chińczyka który oznajmił nam, że od dziś musimy płacić za nasze posiłki a on nie zamierza udzielać nam żadnych kredytów, nie zamierza płacić za nas z własnej kieszeni. Jego stwierdzenie dało początek ostrej dyskusji w czasie której usiłowałem wytłumaczyć mu, że przecież żaden z nas nie ma pieniędzy a żyć przecież trzeba. Jednak Chińczyk był nieugięty.

Po jakimś czasie dyskusja przerodziła się w bardzo ostrą wymianę zdań do tego stopnia, że Chińczyk pobiegł do kuchni, z której wybiegł po chwili z nożem i przyjął postawę bojową. Powiedział: kto odważy się sięgnąć do kotła, on sam zabije takiego smiałka.

Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nie interwencja innego Chińczyka, kierownika sklepu, który zdołał jakoś go przekonać, że przecież ludzi trzeba nakarmić. Wkrótce przyjedzie naczelnik - tłumaczył - sporządzi listę kredytową imienną, każdy otrzyma miskę zupy, którą pokwituje włas-



ręcznym podpisem. Na podstawie tak sporządzonej listy będzie można potrącać część należności z naszych przyszłych pobrań. Wiadomo przecież, że przyjechalismy tu do pracy, za którą otrzymamy wynagrodzenie.

Wreszcie kucharz uległ zastrzegając k jednak, że wywda nam jedynie zupę i chleb.

Kiedy wróciliśmy do baraku, termometry wskazywały 48 stopni mrozu. W baraku było plus 15. Mimo takiego mrozu poszliśmy z łładkiem na przechadzkę. Okolica nie przedstawiała się atrakcyjnie. Droga prowadziła do rzeki, którą wdześniej przyjechalismy i tu się kończyła. Dookoła rozciągały się góry porośnięte nieprzebytą tajgą. Takiego pustkowia i tak dzikiej natury jeszcze nie widziałem. Tak więc start w nowe życie w Brzozowym Kluczu nie zapowiadał się różowo.

Wieczorem ponownie doszło do nowych zatargów z kucharzem Chińczykiem który powiedział, że daje nam jedzenie po raz ostatni. Naczelnik nadal nie wracał. Zjawił się dopiero na trzeci dzień w porze południowej, w towarzystwie swojego przyjaciela, nieco podchmi<sup>e</sup>flony. Jego przyjaciel nazywał się Igor Dymitrowicz.

Natychmiast zarządził zebranie w stołówce i na wstępie wyjaśnił przyczyny swojej nieobecności. Mówił częstymi frazesami z których wynikało, że rozumie naszą sytuację. Wie, że wielu z nas to inteligencja, ale tu jest tylko praca jednego rodzaju: lesopowal. Będziemy musieli wszyscy tego się nauczyć, bo "kto rabotajet, ten kuszajet".

Na początek każdy z nas otrzyma zaliczkę w kwocie dwóch tysięcy rubli. Za te pieniądze musimy kupić sobie odpowiednie ubrania. Reszta pieniędzy, która nam zostanie - ok. 700 rb.

powinna być przeznaczona na jedzenie. Należność za bieliznę pościelową, którą już otrzymaliśmy, będziemy spłacać ratami. Narzędzia do wyrębu lasu otrzymamy już jutro i za darmo. Za każdy metr sześcienny będziemy otrzymywać 7 rubli i 50 kopiejek. Sklep nasz jest dobrze zaopatrzony - mówił. Dużo jest artykułów spożywczych; jest nawet beczka spirytusu. Jutro przystępujemy do pracy a dokładne miejsce wskaże nam Igor Dymitrowicz /dziesiętnik/ i szczegółowo o wszystkim poinformuje.

Następnie wypłacił nam zaliczki. Natychmiast poszliśmy z Władkiem do sklepu. Był nieźle zaopatrzony. Były tam nawet strzelby myśliwskie. Kupiliśmy ubrania robocze i zostało nam po 800 rb. na życie. Spłaciliśmy dług kucharzowi za trzy dni kredytowanego posiłku.

Nazajutrz rano wszyscy byliśmy na nogach. Po śniadaniu pobraliśmy narzędzia. Tworzyły się grupy robocze. Postanowiliśmy z Władkiem, że będziemy pracować we dwóch. Po pobraniu narzędzi brnęliśmy przez głęboki śnieg do pracy. Prowadził nas brygadzysta /dziesiętnik/. Szliśmy gęsiego przez trzy kilometry. Przekroczyliśmy rzekę i zagłębiliśmy się w tajgę. W pewnym momencie dziesiętnik zatrzymał się i wskazując na las przed nami powiedział: ten las będziemy rąbać. Każdej grupie wyznaczył odpowiednie poletko.

Zaczęliśmy pracę z Władkiem. Już na początku byliśmy nie-  
samowicie zmęczeni drogą do pracy przez głęboki śnieg. Ale musieliśmy pracować, bo mieliśmy już długi no i "kto rabotaet ten kuszajet".

Zaczęliśmy piłować pień modrzewia. Piła, niezbyt ostra stale się zacinała. Po wielu wysiłkach olbrzym runął w głąb-



boki śnieg. Teraz należało drzewo odkopać ze śniegu, obciąć gałęzie, popiłować na metrowe kawałki, następnie je porąbać za pomocą żelaznych klinów i ułożyć w sztaple. Gałęzie należało znieść w odpowiednie, jedno miejsce i spalić.

Była to mordercza praca dla nas, ludzi wycieńczonych. Mimo, że mróz był trzaskający, pracowaliśmy w marynarkach. Już słońce zaszło, a my, złani potem, pracowaliśmy przy tym jednym drzewem. Kiedy zmierzyłem efekt naszej pracy okazało się, że postawiliśmy zaledwie dwa metry sześciennie. Zarobiliśmy więc po 7.50 rb. gdy codzienne utrzymanie w stołówce kosztowało 17 rb.

Wszystkie narzędzia zakopaliśmy we śniegu i ze spuszczonej głowami wracaliśmy do obozu. W pewnym momencie Władek usiadł na śniegu, zapalił papierosa i uroczyście oświadczył: Idź do domu, ja tu zostaję na zawsze.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to żart. Zapaliłem papierosa i zacząłem opisywać mu piękną, księżycową noc w tajdze. Wówczas zdenerwowany Władek krzyknął: przestań, niepoprawny romantyku. Rozkazuję ci, jako starszy wiekiem, żebyś mnie natychmiast zostawił w spokoju. Zapomnij o mnie i nie pisz do nikogo. Chcę tu umrzeć, umrzeć we śnie. Mróz będzie moim sprzymierzeńcem.

Zacząłem mu tłumaczyć, że postępuje nieodpowiedzialnie. Nie dał mi jednak dojść do słowa: przecież wcześniej czy później przyjdiesz do mnie. Czy ty sądzisz, że tu przetrwasz? Oni tu nas specjalnie przywieźli po to, byśmy tu zginęli. Czy pamiętasz słowa swego sędziego śledczego: zdechniesz i tak ale dasz jeszcze korzyść dla państwa. Oni stopniowym konaniem wykończą nas definitywnie. Będziemy stopnio-



wo umierać. Patrzę realnie na sytuację. Przecież przetrwałem dziesięć lat piekła. Zamiast odpoczynku wywieziono nas na Syberię i karzą podpisać zgodę na to, że do końca życia zgadzamy się tu pozostać. I oto nadchodzi spełnienie tego. Właśnie nadchodzi kres mojego życia.

Wreszcie zamilkł i pogrążył się w milczeniu. Wówczas wzięłem go za rękę, ucałowałem i chciałem podnieść, aby iść dalej. Ale on szarpnął się, wyciągnął nóż a oczy świeciły się mu złowrogo i powiedział: nie ruszaj mnie i nie doprowadzaj do ostateczności, bo dojdzie do tragedii. Idź i nie wracaj więcej.

Odszedłem na dwa kroki i ze złością zacząłem: ty jesteś wojskowym. Walczyłeś nie na jednym froncie, zwyciężałeś, jesteś odznaczony. Wychowywałeś kwiat naszej patriotycznej armii. Byłeś gwiazdą, przewodnią polskiej młodzieży. Niosłeś kaganiec wiedzy. A teraz co? Widzę przed sobą tchórza, słabego, załamanego starca, człowieka bez woli charakteru, który w decydującej rozgrywce jednak kapituluje. Szanse nasze jeszcze nie zginęły. Przyjdzie jeszcze taki czas, że i o nas się upomną. Daję tobie jedną minutę do namysłu. Nie dam ci umrzeć - najwyżej odmrozisz nogi i ręce, nim ja sprowadzę pomoc.

Milczeliśmy obaj. Byliśmy na środku rzeki w tajdze. Wysoko świecił księżyc. Mróz wznagał się. Poczujęm przenikające zimno. Zdecydowałem się: energicznie podszedłem do władka, zdecydowanie wzięłem go za rękę. Nie stawiał już oporu i obaj poszliśmy do pasiołka. Tu natychmiast zrobiłem kolację. Władek nie jadł a na moje zaproszenie odpowiedział: zakładam głodówkę. Podobno taki rodzaj śmierci też jest nieboles-

ny.

Nazajutrz stałem raniutko, obudziłem Władka. Odpowiedział hardo, że ani na śniadanie ani do pracy nie pójdzie. Wówczas zdecydowałem się, że będę pracował sam. Poszedłem do narzędziowni i wziąłem jednoosobową piłę i poszedłem do tajgi. Po drodze spotkałem Iwana Iwanowicza, który wracał z Tei. Powiedziałem mu, że mój przyjaciel zachorował na depresję nerwową. Zapytałem, czy nie ma innej pracy dla niego gdyż on jest tak wyczerpany, że w lesie pracować nie może.

Naczelnik pomyślał przez chwilę i zapytał o zawód Władka: może jest cieślą? Odpowiedziałem twierdząco, gdyż przez 10 lat obozów nauczyliśmy się wielu profesji. Naczelnik powiedział, że dobrze, gdyż jest pilna praca remontu łaźni. To jest robota dobra, na miejscu, a zapłata będzie dnówkowa w takiej wysokości, jakie będą zarobki w lesie.

W lesie zabrałem się ochoczo do pracy wiedząc, że moja wydajność będzie decydować o zarobkach Władka. Jednoręczna piłka okazała się bardzo dobra. Do wieczora zrobiłem przeszło dwa metry.

Kiedy wróciłem do domu, na progu spotkał mnie uśmiechnięty Władek i zaprosił mnie na kolację. Okazało się, że już dzisiaj pracował przy remoncie łaźni. Zakomunikowałem mu, że dzisiaj zarobiliśmy po 16 rb. Zaplanowałem na jutro postawić trzy metry tak, że w sumie będziemy zarabiać po 25 rb. dziennie, wliczając w to tak zwany dodatek północny. I rzeczywiście: nazajutrz postawiłem 3 metry.

Po 14-tu dniach otrzymaliśmy pierwszą wypłatę: po 350 rb. Potrącono zaliczkę 100 rb. Z tej okazji wzięliśmy do obiadu po 50 gr. spirytusu. Zawirowało nam w głowach a życie i świat



trochę zaróżowiały. Zrobiło się lżej na duszy a Władek zaśpiewał kilka pieśni legionowych a ja wspierałem go całą piersią. Słowa tych pieśni wiatr nioś w tajgę syberyjską dalekiej północy: idzie żołnierz borem lasem.

Drugą wypłatę otrzymaliśmy w końcu miesiąca. Władek skończył pracę w żałnii i naczelnik zaproponował mu pracę w innej miejscowości o nazwie Bruslaki. Tam również wyrębywano las i potrzebni byli ludzie do obcinania gałęzi. Władek przystał na to i zostałem sam wśród obcych narodowości.

Początkowo było mi b. smutno, gdyż nie słyszałem mowy ojczystej. Wracając z pracy mówiłem do siebie, deklamowałem wiersze, "Pana Tadeusza" inne.

Pewnego razu - chyba pod koniec lutego - naczelnik zwołał zebranie i zapowiedział, że musimy zorganizować brygadę wozaków. Ich zadaniem będzie zwożenie zrąbanego drzewa w lesie na brzeg rzeki. Wiosną, gdy lody puszczą, będzie ono spławiane do elektrowni w Tei. Ponieważ w pasiołku było 10 koni trzeba tylu wozaków. Jednocześnie zastrzegł, że praca jest bardzo niebezpieczna, bo teren jest górzysty i o wypadek łatwo. Z tego powodu każdy woźnica podpisywał zobowiązanie, że w razie zabicia konia będzie musiał odpracowywać sumę 2000 rb.

Jako pierwszy zgodził się potężnie zbudowany Łotysz, były bokser, członek kadry narodowej. Drugi byłem ja. Skłoniło mnie do tego to, że od dzieciństwa bardzo lubiłem konie a po drugie ta praca była lepiej płatna.

Za nami podpisało się jeszcze sześciu ochotników różnych narodowości. Nazajutrz poszliśmy do stajni, gdzie stajenny przydzielił nam konie, uprząż i sanie. Nie trafił się nieduży, krępy konik o imieniu "Barbason".



Później, już w czasie pracy okazało się, że miałem z nim sporo kłopotów. Jeśli sanie były przeciążone, natychmiast zatrzymywał się i ruszał dopiero wówczas, gdy z saną zdjąłem jedną, choćby najlżejszą gałąź.

Wózienie drzewa było rzeczywiście niebezpieczne zwłaszcza podczas zjazdów ze stromych pagórków. Hamowanie odbywało się za pomocą łańcuchów na płonach. Kiedyś przy moich saniach pękł łańcuch i sanie nabrały szybkości. Koń upadł i siłą rozpędu zjechał jakieś 150 m grzbietem w dół. Całe szczęście, że na drodze nie było żadnego pnia i nic się nie stało.

Praca stawała się szczególnie niebezpieczna, gdy mróz sięgał 50-ciu stopni. Już samo zaprzęgnięcie konia do saní było wielkim problemem. Drzewo było tak namarzniałe, że już żelazo przystawało do rąk, gdy trzeba było zdjąć rękawicę. Konie też męczyły się szybciej a ich nozdrza i cały pysk zamarały lodem. Wówczas Iwan Iwanowicz wyznaczył człowieka, który na naszej, trzykilometrowej trasie wywózki co pół kilometra rozpalał i podtrzymywał ogniska. Nasze konie były tak wytrenowane, że przy każdym ognisku zatrzymywały się.

Droga była wyboista i trzeba było tak manipulować i tak podpierać sanie, żeby nie przewróciły się z ładunkiem. Wywrotka powodowała wiele pracy, bo cały ładunek trzeba było przeładowywać. Dlatego umówiłem się z Łotysze, Robertem Stembergiem, że będziemy zawsze jeździć jeden przy drugim tak, żeby w czasie wywrotki we dwóch móc podnieść wywrócone sanie.

Po pierwszej wypłacie za wywózkę postanowiłem 200 rb. wysłać mojej matce. Jak się później dowiedziałem, nie dotarły one do niej, gdyż poczta zatrzymała je na poczet zaległych

podatków.

W Tei funkcjonowała elektrownia opalana drewnem. W ciągu doby zużywała 300 m<sup>3</sup> drewna. Ok. 500 ludzi pracowało na to, aby dostarczyć paliwa. Zasilala ona znaczną część północno-wschodniej Syberii. Wiązało się to też z pracą kopalni złota. Sama Teja była większym miastem, w którym było kilka sklepów a nawet klub rozrywkowy, w którym od czasu do czasu wyświetlano filmy, propagandowe oczywiście. Mieszkało tam kilkunastu Polaków, w tym i Józek Matyjewicz i Staszka, o których już mówiłem. Właśnie u nich często zbierali się Polacy, bo pogawędzić w gronie rodaków.

Pewnej niedzieli przyszliśmy ze Stenbergiem do Tei. On miał tu swoją sympatię, która kiedyś była aktorką w Rydze. Zostałem bardzo serdecznie przyjęty przez Józkę i Staszkę. Kiedy wzniosłem toast za nich, do mieszkania wpadł Władek. Humory nasze poprawił się a Władek, jak zwykle zaczął śpiewać wojskowe piosenki.

W pewnej chwili palnąłem mówiąc, że Staszkę i Józka związał los na Syberii. Następnie kazałem publicznie pocałować się i dodałem, że ten związek niech będzie trwały i musi mieć znaczenie prawne, gdyż tu nie mamy ani urzędu stanu cywilnego ani władzy kościelnej.

Następnie Władek złożył im życzenia mówiąc, że ich przyszłe pokolenia będą trwałe, liczne jak piasek w morzu i zasiedli te rozległe i niedostępne tereny.

Na stojąco odśpiewaliśmy "sto lat" na cześć młodej pary. Następnie Janek Sławiński opowiedział swoje przeżycia. Był na Syberii od dwóch lat. Ożenił się z Agą Wasilewną, była dyrektorką kombinatu drzewnego, która jest obecnie księgową.



dlatego, że wyszła za Polaka. Obecnie mają własny, czteropokojowy domek. On nie pracuje, gdyż komisja lekarska uznała go za niezdolnego do pracy. Zajmował się polowaniem. Miał dwie dubeltówki i trzy psy. Tu są takie prawa, że nie istnieje coś takiego jak pozwolenie na broń myśliwską: każdy może pójść do sklepu i kupić.

Tajga jest przebogata w najróżniejszą zwierzynę. Jego opowieści z polowań oraz o kontaktach z Tungusami były bardzo ciekawe. Władze radzieckie za wszelką cenę starały się zmusić Tungusów do osiadłego trybu życia, bezskutecznie. Największą plagą tych ludzi jest pijaństwo: piją mężczyźni, kobiety i dzieci. Bardzo często przepijali cały swój dorobek.

Opuszczenie trzech dni pracy bez usprawiedliwienia powodowało odpowiedzialność sądową. Najczęściej orzekaną karą był areszt na czas kilku tygodni.

Z żalem opuszczałem rodaków. Przed sobą miałem 15 km drogi przez tajgę. Szedłem rzeką, na której była przetrta dróżka. Mróz sięgał 40-tu stopni. Rano musiałem stawić się do pracy. Do miejsca przeznaczenia dotarłem szczęśliwie, chociaż często musiałem nacierać twarz śniegiem.

W końcu tygodnia dostałem wypłatę w wysokości 850 rb. Otrzymane pieniądze niefrasobliwie włożyłem do kieszeni i zapomniałem o nich. Nazajutrz, po powrocie do domu sięgnąłem do kieszeni i stwierdziłem, że kieszeń jest pusta. W czasie ruchu w pracy zawiniątko wypadło z kieszeni. Byłem tym bardzo zmartwiony, bo za coś trzeba było żyć. Poszukiwanie zguby po nocy, w śniegu, w lesie na trzykilometrowej trasie nie wróżyły powodzenia. Z tymi myślami, wieczorem pomodliłem



się szczerze do sw. Antoniego i zasnąłem.

Obudziłem się bardzo wcześnie. Nękała mnie myśl, aby iść na poszukiwanie. Obudziłem Strynberga i poprosiłem go, by po śniadaniu zaprzągnął mojego konia i przyprowadził go do pracy. Sam natomiast poszedłem do pracy na poszukiwanie. Wolno chodziłem w miejscach, w których mogłem zgubić pieniądze. Zupełnie nieoczekiwanie znalazłem zgubę.

Wkrótce do pracy przyjechał mój przyjaciel, przywołując mi śniadanie. Bardzo cieszył się z tego, że znalazłem zgubę. Obiecałem mu, że za pomoc mi wypijemy ćwiartkę spirytusu. Przez cały dzień praca szła nam dobrze.

Wieczorem tego dnia otrzymałem list od matki i siostry, który zawierał adres mojej rodziny w Polsce, która w 1946 r. repatriowała się do kraju. Moi rodzice natomiast nie chcieli repatriować się gdyż nadal łudzili się, że Wileńszczyzna powróci do Polski. Do tej ziemi byli bardzo przywiązani.

Moje imieniny wypadały 19-go marca, które były obchodzone bardzo uroczyście w latach mojej młodości dlatego, że mój ojciec też nazywał się Józef i w domu stale było dwóch solenizantów. Tu, na Syberii, postanowiłem pójść do Tei do mojego przyjaciela, który też był Józef i wspólnie, w gronie Polaków obchodzić imieniny. Jakież było moje zdziwienie, gdy na stole pp. Józefostwa zobaczyłem prawdziwą baterię koniaków. Stół był udekorowany. Okazało się, że w przeddzień – jak na nasze żądanie – przywieziono samolotem do miejscowego sklepu koniak. To się zdarzało bardzo rzadko. Józek to wykorzystał robiąc zapas także i z myślą o mnie.

Wśród gości był Władek, elegancko wygolony. Wszyscy byliśmy w roboczych ubraniach oprócz Józka, który jako krawiec

już zdołał uszyć sobie nowe ubranie.

Po jakimś czasie nadeszli dalsi goście i uroczyście zasiedliśmy do stołu. Jak na warunki syberyjskie przyjęcie było wykwintne. Były nawet faworki i ciasta własnego wypieku. Wznoszono toasty za nasze zdrowie i szczęśliwy powrót do kraju. Zaczęto śpiewać, m.in. syberyjską piosenkę "Bradiaga". Staszek, ze łzami w oczach opowiadał, jak jeszcze przed rokiem pracował nad Pieczorą, gdzie było bardzo dużo Polaków. W tamtejszych strasznych warunkach wielu jego kolegów pozostało tam na zawsze. Pracowali tam przy budowie linii kolejowej, na wiecznej zmarzlinie i przy 50-ciestopniowym mrozie. Podzielono ich na dziesięcioosobowe grupy i każda z nich musiała wykopać stumetrowy odcinek. Na mecie wyznaczonego odcinka wieszano w papierowej torebce dwa bochenki chleba w charakterze przynęty. Na takie przynęty najbardziej chcieli byli Litwini i Łotysze.

Za przykładem Staszka byliśmy smutni. Jeden tylko Władek nie tracił humoru i napełniał puste kieliszki. Ja, aby przerwać ten smutny nastrój zaśpiewałem dawną, towarzyską piosenkę: "Precz od nas smutek wszelki". Od tego momentu zaczęła się niekończąca się wiązanka szlagierów. Na zakończenie zaśpiewaliśmy pieśń legionową.

Nagle zrobiło się cicho: Staszek i Janek spali, oparci o ścianę. Ja ułożyłem się na ławie a kolega pod ławą. Koniak zrobił swoje a i głowy nie były zbyt mocne.

Obudziłem się o świcie i dyskretnie ulotniłem się do Brzozowego Klucza. Przez cały dzień pracowałem, głowa mi bardzo ciążyła ale jakoś wytrzymałem.

Wieczorem poszedłem na zebranie, które organizował co ja-



kiś czas Iwan Iwanowicz. Oznajmił nam, że powinniśmy za wszelką cenę przyspieszyć wywózkę drzewa dlatego, że zbliża się przedwiosenna "purga". Zwykle gdzieś ok. połowy kwietnia temperatura w tamtych stronach podnosiła się do 20 stopni poniżej zera, oczywiście i zaczynał padać b. gęsty śnieg przy silnym wietrze. O pracy nie może być mowy, bo z chat wystają ponad powierzchnię tylko m. kominy. Okres taki trwa niejednokrotnie do dwóch tygodni i w tym czasie nie można wychodzić z domu. Iwanow dodał, że sprowadził dodatkowe konie i podwyższył stawkę jednostkową o 50 kopejek.

Zabraliśmy się ochoczo do pracy. W ciągu dziesięciu dni wywieźliśmy z lasu wszystkie drzewo do rzeki. W ostatnim dniu pracy zaczęła szaleć purga a konie zapadały się w śniegu po uszy. Nazajutrz nasze domki były zasypane po dachy. Temperatura podnosiła się i po kilkunastu dniach doszła do minus pięciu stopni, ucichł wiatr i zaświeciło słońce. Temperatura nadal rosła i już zaczęły tworzyć się w tajdze szumiące strumyki. Na rzece Tei pewnej nocy zaczęły pękać lody. Z brzegów wystąpiła rzeka i zalewała tereny niżej położone.

Okres przedwiosenny trwał tylko kilka dni. Śnieg zniknął błyskawicznie i tajga natychmiast zazieleniła się a przelotne ptaki zakładały swoje gniazda. Europejczyka zaskakuje ogrom przestrzeni i tajemnicza cisza, która tu panuje przez całe lato. Jedynym odgłosem, która zakłóca tajemniczą ciszę, jest monotonny szum górskich rzek. To chyba od monotonnego szumu przepływającej wody miejscowi Tunguzi są usposobieni spokojnie i mają powolne ruchy. Na ich twarzy nigdy nie widziałem uśmiechu.

Gdy wody i kra opadła, nasza brygada, na polecenie Iwana



Iwanowicza przeprowiła się łódkami na drugą stronę rzeki z zadaniem zrzucania przywiezionego w zimie drzewa do rzeki. Normy w tej pracy były bardzo wysokie. Drzewo płynęło z prądem rzeki aż do elektrowni. Przez nasz odcinek rzeki płynęło też drzewo z pasiołka "Zimowoje", który był położony od nas o 20 km w górę rzeki.

Płynące swobodnie drzewo tworzyło zatory na rzece, które usuwały specjalne brygady "burszczykow". Kiedyś, nie mogąc doczekać się na łódkę, która miała nas przewieźć na drugi brzeg, w czterech zbudowaliśmy tratwę i wypłynęliśmy na rzekę. Na środku wody tratwa zaczęła się rozpadać. Dwaj Litwini skoczyli do wody i ja z kolegą zostaliśmy na tonącej tratwie, bez wiosła. Wreszcie skoczył mój kolega i zostałem sam, bez steru. Również skoczyłem do wody. Wydawało mi się, że za chwilę zginę. Nadludzkim wysiłkiem dobiłem do brzegu. Było mi bardzo zimno.

Do pasiołka dotarłem biegiem. Przy pieciu siedziało tych dwóch Litwinów i popijało spirytus. Pożyczyłem od nich 150 g spirytusu, wypilem duszkiem i trzasnąłem obu w policzki mówiąc: to jest wasza solidarność? Przecież zostawiliście nas na rozpadającej się tratwie bez wiosła i uciekliście. Spuścili głowy i ruszyli ze mną na poszukiwanie czwartego kolegi. Niestety, nie znaleźliśmy go.

Nazajutrz powiadomiłem Iwana Iwanowicza o wypadku i powiedziałem, że jego uważam za współwinnego śmierci kolegi. On spokojnie powiedział, że też jest zesłańcem i jego możliwości są niewielkie, chociaż podejmował odpowiednie starania.

Trupa naszego kolegi znaleziono w dwa tygodnie później, w pobliżu elektrowni. Nie pamiętam nazwiska, był Białorusinem. Pewnego razu przyszli do mnie Janek z żoną. Prosili mnie,

Iwanowicza przeprowiła się łódkami na drugą stronę rzeki z zadaniem zrzuć przywiezionego w zimie drzewa do rzeki Normy w tej pracy były bardzo wysokie. Drzewo płynęło z prądem rzeki aż do elektrowni. Przez nasz odcinek rzeki płynęło też drzewo z pasiołka "Zimowoje", który był położony od nas o 20 km w górę rzeki.

Płynące swobodnie drzewo tworzyło zatory na rzece, które usuwały specjalne brygady "burszczykow". Kiedyś, nie mogąc doczekać się na łódkę, która miała nas przewieźć na drugi brzeg, w czterech zbudowaliśmy tratwę i wypłynęliśmy na rzekę. Na środku wody tratwa zaczęła się rozpadać. Dwaj Litwini skoczyli do wody i ja z kolegą zostaliśmy na tonącej tratwie, bez wiosł. Wreszcie skoczył mój kolega i zostałem sam, bez steru. Również skoczyłem do wody. Wydawało mi się, że za chwilę zginę. Nadludzkim wysiłkiem dobiłem do brzegu. Było mi bardzo zimno.

Do pasiołka dotarłem biegiem. Przy pieciu siedziało tych dwóch Litwinów i popijało spirytus. Pożyczyłem od nich 150 g spirytusu, wypilem duszkiem i trzasnąłem obu w policzki mówiąc: to jest wasza solidarność? Przecież zostawiliście nas na rozpadającej się tratwie bez wiosł i uciekliście. Spuścili głowy i ruszyli ze mną na poszukiwanie czwartego kolegi. Niestety, nie znaleźliśmy go.

Nazajutrz powiadomiłem Iwana Iwanowicza o wypadku i powiedziałem, że jego uważam za współwinnego śmierci kolegi. On spokojnie powiedział, że też jest zesłańcem i jego możliwości są niewielkie, chociaż podejmował odpowiednie starania.

Trupa naszego kolegi znaleziono w dwa tygodnie później, w pobliżu elektrowni. Nie pamiętam nazwiska, był Białorusinem. Pewnego razu przyszli do mnie Janek z żoną. Prosił mnie,



aby im pomógł wyrąbać sto pni na nowy dom. Ofiarowałem swoją pomoc, ale tylko w niedzielę. W tajdze wyszukaliśmy i oznaczyliśmy sto wysokopieniowych modrzewi. Jeszcze tego samego dnia ponad trzydzieści pni było gotowych. Następną niedzielę koniem ściągaliśmy budulec na brzeg rzeki. Budowaliśmy tratwy /po dwadzieścia pni/ i spławialiśmy rzeką. Praca posuwała się szybko do przodu, bo w każdą niedzielę pracowało kilkoro Polaków. Wkrótce stanął ładny domek.

Formalności budowlane nie stanowiły żadnego problemu. Nie wymagano żadnych zezwoleń ze strony władz. Istniał wprawdzie komisariat milicji, ale jego zadaniem była ewidencja tuttejszej ludności. Miejscowi musieli meldować się co jakiś czas na milicji i nie mieli prawa samowolnie opuszczać granic rejonu.

W wypadku bójek czy kradzieży milicja nie interweniowała. Zajmowała się sprawami politycznymi, korzystając z siatki konfidentów, którą tworzył personel kierowniczy komunistów. Tak więc w tajdze dominowało prawo z ery jaskiniowej: siła pięści. Miejscowi Tunguzi mieli swoje, odwieczne prawa oparte na wysokich walorach sumienności, koleżeństwa i poszanowania cudzej własności. Jeśli Tunguz spotkał w tajdze zwierze w cudzej pułapce, nigdy go nie ruszył.

Ludność napływowa też przestrzegała pewnych reguł, bo w większości byli to ludzie więźniowie polityczni.

W końcu czerwca skończyliśmy pracę z drzewem i chodziliśmy na poręby. We znaki dawały się nam chmary maleńkich muszek, które atakowały nas z wyjątkową zjadłością. Wielu z nas dostawało wysokiej temperatury i obrzęku ciała. Dzięki zwierzęta uciekały przed nimi na wysokie skały, gdzie powiewy wiatru nie dopuszczały tych natrętów.



Ludzie nakładali specjalne ubrania, które nie posiadały zbędnych otworów a na twarze zakładano siatki. Broniły one przed lecącymi muszkami ale gdy muszki miały złożone skrzydła, przesączały się przez najdrobniejsze oczka. Produkowano specjalny smar, sporządzany z dziegciu brzoźwego i palonego rogu reniferowego. Specyfik miał specjalny, cuchnący zapach. Każdy nosił ze sobą buteleczkę tego smaru i co godzinę smarował twarz i ręce.

Zimą utrapieniem były ponad pięćdziesięciostopniowe mrozy. Ochotników do zamieszkania na tych terenach nie było, chociaż władze czyniły starania i stosowały różne zachęty materialne /wysokie dodatki do poborów/. Chętnych jednak nie było do zamieszkania w tej głuszy, z której do najbliższej stacji kolejowej było 1000 km.

W lipcu Iwan Iwanowicz oznajmił nam, że cała nasza męska drużyna została odkomenderowana do Wałkawoj, która znajdowała się o 120 km w górę rzeki. Mieliśmy tam do jesieni kosić siano dla naszych koni. W grupie kosiarzy znalazł się i Władek. Cały nasz dobytek załadowaliśmy do trzech łodzi, które były ciągnione przez konie idące brzegiem. Łódź holowano na długiej, stumetrowej linie a sama łódź była wyposażona w ster w postaci dużego wiosła. Był to jedyny środek lokomocji na tantejszych bezdrożach. Ten rodzaj transportu nazywany tam jest "linki".

Tantejszy system zaopatrzeniowy w produkty żywnościowe jest następujący: raz do roku, po ustąpieniu lodów, do ujścia Jenisieju wpływają okręty morskie z zapasem aprowizacji na cały rok dla danego rejonu. Towary składowane są w bazach, skąd rozwożone są barkami a dalej "Linkami".

Do Wałakawoj przybyliśmy na trzeci dzień. Był tam jeden roboczy barak i mały domek w rodzaju gajówki, w którym mieszkał rosyjski zesłaniec z żoną ~~z~~ i piętnastoletnią córką. Był stróżem. Dwa razy w roku dostarczano mu pocztę i inne rzeczy a odbierano skóry futerkowe. Do najbliższej osady ludzkiej było ponad sto km. W pobliskiej rzece były ryby o nazwie "harusy", przypominające wyglądem i smakiem nasze pstrągi. Rosjanin miał dwie dubeltówki i trzy psy myśliwskie.

Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Braliśmy od niego mleko oraz mięso. W najbliższą niedzielę pożyczyłem od niego dubeltówkę i dwa psy i udałem się na polowanie. Ubiłem dwa głuszcze. Wytropiły je psy, które były wytresowane. Zdziwiło mnie to, że tak łatwo dały się podejść skoro wiadomo, że z natury są płochliwe. Dopiero później dowiedziałem się, że one po raz pierwszy widziały człowieka i psa i uważały, że są to zwierzęta tajgi. Huk wystrzału potraktowały jako odgłos uderzenia pioruna.

W tajdze nie <sup>mi</sup>cietrzewi, bo dla nich ten kilmat jest za surowy. Głuszcze natomiast na czas wielkich mrozów zakopują się głęboko do śniegu i tam zakładają śniegowe gniazda.

Ustrzelony głuszek ważył ok. 6 kg. Posiłek spożywaliśmy na ławie mimo tego, że w mieszkaniu był stół. Było to na wyraźne życzenie gospodarza, <sup>Władka</sup> Iwana, który twierdził, że jest to tradycja mazurska a on uważa się za Mazura.

Nazajutrz, po pracy, udałem się z moim kolegą, Lotyszem o nazwisku Stenberg - nad rzekę. Ubrojeni w widelce brodziłiśmy po rzece i pod kamieniami znajdowaliśmy miętuzi. Mieliśmy kolejną ucztę, tym razem z ryb.

Łąki, które kosiliśmy, leżały nad brzegiem rzeki. Nie były



uprawiane lecz samorodne. Władek uzyskał od bragydzisty zezwolenie na pracę nocną. Władek wychodził do koszenia wieczorem a wracał rano.

Z koszeniem nie miałem żadnych kłopotów także dlatego, że trafiła mi się dobra kosa. Skoszoną trawę ściągaliśmy końmi w jedno miejsce i formowaliśmy duże stogi. Kiedy zimą rzeka zamarzła, przyjeżdżał konwój 50-ciu sań i rozwoził siano do poszczególnych pasiołków.

Nasz gospodarz tęsknił do życia zbiorowego. Miał jedynie patefon sprężynowy i dwa razy krótkotrwałą łączność ze światem. Najbardziej traciła ich córka, która przecież musiała się uczyć. Obiecywał sobie, że gdy się skończy termin jego zsyłki, pojedzie na "maciaryk" t.j. na macierzystą ziemię. Zamierzał sprzedać swój dobytek i odlecieć samolotem.

Syberyjskie rzeki zamarzają do dna /mniejsze/. Ryby jednak nie giną: gdy tylko pierwsze liście zaczynają spadać z drzew, ryby instynktownie wyczuwają nadchodzącą zimę i uciekają do głębszych rzek jak Jenisiej czy Lena, które nie zamarzają do dna. Ryby przepływają całymi ławicami i często zatrzymują się w zatoczkach, i wówczas można je łowić zwykłym koszem. Gospodarz odgrodził część rzeki i zrobił małą zatoczkę, w której zatrzymywała się ryba. Dzięki temu zawsze miał świeżą rybę do jedzenia.

Gdy słuchałem jego opowiadań, coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że gdy on wyjedzie, ja będę starał się zająć jego miejsce.

Kiedy skończyliśmy koszenie, stało 50 stogów świeżego siana. Pod naciskiem Władka, nie czekając na łódkę, ruszyliśmy obaj pieszo do naszej bazy. Szliśmy najpierw przez tajgę a



następnie wzdłuż rzeki Tei. Na równinie spotykaliśmy obrzyna kamienie lub samotnie sterczące skały. Wdrapaliśmy się na jedną z nich i podziwialiśmy panoramę tajgi. Nagle ze szpar skały zaczęły wychodzić syberyjskie zwierzątka, bondruki. Otoczyły nas ze wszystkich stron, usiadły na tylnych łapkach przednie złożyły jak do modlitwy i przyglądały się nam z ciekawością. Nagle władek gwiznął głośno i wszystkie zwierzątka natychmiast znikły.

Po kolacji spędziliśmy noc przy ognisku, które podsycałaliśmy na zmianę a rano ruszyliśmy w dalszą podróż. Na następny wieczór dotarliśmy do Brzozowego Klucza, w którym spędziliśmy kilka dni, zanim nasi towarzysze nie wrócili z sianokosów. Tu obliczono naszą pracę i nasze zarobki. Po potrąceniu zaliczek otrzymałem 450 rb.

Otrzymałem pozwolenie od Iwana Iwanowicza na przeniesienie się do Tei, w której mieszkało ok. 20 Polaków. Ponadto zaczęło szwankować mi zdrowie i chciałem być bliżej lekarza, który urzędował w Siewierjensisiejsku, 30 km. od Tei. Myślałem o tym, aby otrzymać trzecią grupę roboczą, wówczas bowiem nie miałem obowiązku pracy. Na początku zamieszkałem u Józka, którym swego czasu dawałem ślub.

Pracowałem na nocnej zmianie. Wyciągałem koniem kłoce drzewne z rzeki. Praca była b. ciężka tym bardziej, że pracowałem sam. Zarabiałem ok. 30 rb. dziennie.

Pewnego dnia zwolniłem się z pracy i pojechałem na komisję lekarską do Siewierjensisiejska. Z gabinetu lekarza wyszła siostra i powiedziała, że dzisiaj lekarz przyjmie tylko 15 osób /oczekiwało ok. 30/ i mnie również powiedziała,

żebym przyjechał w innym dniu. Po chwili nie miałem wątpliwości: to była moja wujenka, którą aresztowali w Pankiszkach niby to polscy partyzanci. Po wielu przejściach trafiła aż tu, na daleką Syberię. Kiedy odezwałem się do niej po polsku, zdębiała. Dopiero po chwili rzuciła mi się na szyję prosząc o przebaczenie, bo jej zeznania w znacznym stopniu przyczyniły się do aresztowania mnie.

Lekarz przyjął mnie jako pierwszego, zbadał, orzekł wrzody żołądka i orzekł trzecią grupę roboczą. Nie musiałem pracować. Janka zwolniła się u lekarza i wyszliśmy na ulicę. Wujenka zaczęła opowiadać o torturach i prosiła mnie o przebaczenie. Przyznałem jej rację tym bardziej, że oboje cierpieliśmy na Syberii.

Wujenka mieszkała w Siewierjensiejsku już trzeci rok. Wyszła za mąż za Rosjanina, który pracował w kopalni złota. Jej mąż okazał się miłym jegomościem. Też był zesłańcem. Oboje dobrze zarabiali ale wszystko przepijali a Janka była nałogową alkoholiczką.

Władze radzieckie dążyły do zmuszenia Tunguzów do osiadłego trybu życia. Te wysiłki okazały się bezskuteczne. Tunguzi, którzy trudnili się łowiectwem, odstawiali swoje zdobycze do wyznaczonych punktów. Taki punkt-sklep był w Wołokowej. W takich sklepach wymieniano skóry na towar. Pieniądze tam nie kursowały.

Zacząłem starać się o miejsce w Wołokawoj, gdzie mieszkał Rosjanin z żoną i nieletnią córką. Miejscowy naczelnik w zasadzie zgodził się ale pod warunkiem, że się wcześniej ożenię. W tym też czasie nawiązałem kontakt z Polską za pośrednictwem matki i siostry, które zostały na Wileńszczyźnie. Na-



tomiasz brat i trzy siostry repatriowały się do Polski i osiedliły się w Karpaczu. Jedna z sióstr przysłała mi nawet "wyzyw", którego niestety władze radzieckie nie honorowały. Z jej listów dowiedziałem się, że moja sympatia - Zosia /obecna moja żona/ nie wyszła za mąż, że mieszka z matką w Białymstoku. Napisałem do niej i wkrótce otrzymałem list oraz kilka tygodników z polskiej prasy.

Napisałem też do Wandy Mackiewiczówny, która swoimi paczkami przysyłanymi do obozów uratowała mnie od nieuniknionej śmierci głodowej. Ona swego czasu podkochiwała się we mnie. Teraz zaproponowała jej przyjazd na Syberię. Odpisała, że nie może gdyż opikuje się chorą matką. Jak pokazała przyszłość - pozostała starą panną.

Kobiety na Syberii szukały mężczyzn i nie stawiały oporu. Godziły się na pierwszą propozycję związania się z mężczyzną. Celowały w tym Ukrainki: gospodarne, dorodne i przystojne. Wiazały się z żonatymi mężczyznami, wychodziły za Chiryczków, Tatarów, Uzbeków i td. Najlepiej trzymały się Litwinów. Żadna z nich nie wyszła za mężczyznę innej narodowości. Polki nie przebierały zbytnio. Szukały takich, którzy dobrze zarabiali.

Znałem pewną Polkę, która wyszła za Estończyka, żonatego i ojca kilkorga dzieci. Z nim też miała dzieci. On był nałogowym alkoholikiem i znęcał się nad nią niesamowicie. Postanowiliśmy, w grupie Polaków - że jeden z nas - w drodze losowania - zaopiekuje się nią nawet gdyby przyszło zabrać ją razem z dziećmi. Los padł na mnie.

W najbliższą niedzielę udałem się do nich w towarzystwie dwóch Polaków: Michała i Stacha Karpowicza. Oświadczyłem jej mężowi, że zabieramy Jankę gdyż jako Polacy nie możemy poz-



wolić, aby naszą rodaczkę tak poniwierano. Doszło do gwałtownego zajścia i niewiele brakowało, a doszłoby do bójki. Ostatecznie sprawę załagodiliśmy. Estonczyk przeprosił żonę i przysiągł, że będzie ją szanował.

Byłem zadowolony, że moja misja zakończyła się pomyślnie. Nadchodziła zima a mnie ogarnęła melancholia i opadły wspomnienia. Którejś niedzieli wybraliśmy się z Władkiem do tajgi na borówki, których było bardzo wiele. Gospodynie konserwowały je na zimę całymi beczkami.

Nadal pracowałem na nocnej zmianie i zwoziłem drzewo do elektrycznej piły. W początkach grudnia mrozy zaatakowały bardzo mocno. Rzeka zamrzła i spadły obfite śniegi. Zwróciłem się do żony Janka Sławińskiego z prośbą o protekcję w sprawie przejścia do samotni na Wołokowej. Obiecała pomóc.

Pewnego dnia wróciłem z nocnej zmiany bardzo zmęczony i wyczerpany i położyłem się spać. Nie spałem więcej niż godzinę, gdy do izby wpadli Władek i Józek i od drzwi zawołali jak na komendę: wiwat, sto lat. Jedziemy do Polski.

W pierwszej chwili myślałem że to kawał. Ale gdy spojrzałem na ich twarze, nie miałem wątpliwości. Na tę chwilę czekałem od dawna i od pewnego czasu nawet to przeczuwałem. Jak się okazało, Józek Matyjewicz został wezwany do naczelnika milicji, który odczytał mu listę Polaków - kandydatów na wyjazd. W ciągu doby musieliśmy załatwić wszystkie formalności urzędowe oraz rozliczyć się z zakładem pracy. Mieliśmy odjechać na lotnisko do Siewierjensisiejska z dziesięciokilogramowym bagażem. Grupę stanowiło 11-tu Polaków. Śpieszyliśmy się bardzo. Sprzedawaliśmy niepotrzebne rzeczy. Zesłańcy z innych narodowości mówili, że skoro wyjeżdżają Polacy, to i

na nich też przyjdzie kolej. Władek i ja postanowiliśmy pójść do Sławińskich. W ich domu panował nastrój powagi, bo musieli rozstać się z nami. Żona Janka Sławińskiego mówiła, żeby on jechał do Polski a jej przysłał "wyzyw", to może wówczas ją puszcza. Taka decyzja zapadła.

Z zakładu pracy otrzymaliśmy zaświadczenia o przepracowanych dwóch latach. Nie potwierdzono nam dziesięciu lat pobytu w obozie. Widocznie władze chciały to zatrzeć, gdyż nasz pobyt w obozie był bezprawny.

Nazajutrz, o dziewiątej rano zajechały sanie, na które zaczęliśmy się sadować. Po dwudziestu minutach oczekiwania przyszedł Janek: bez bagażu i osowiały. W czasie podróży saniami milczeliśmy. Na lotniisku okazało się, że pogoda jest nielotna. Poszliśmy do bufetu. Nazajutrz przyjechała żona Janka i przywiozła mu prowiant bo go zapomniał.

Wkrótce wylecieliśmy. Zegnało nas wiele osób, a wśród nich i Janka, moja wujenka, która wyszła za Rosjanina, miała jego obywatelstwo i nie mogła wracać. Płakała i prosiła, aby o niej nie zapominać. Prosiła, aby po przyjeździe do kraju wszcząć starania o jej powrót.

Wreszcie samolot ruszył. Ale na pokładzie nie było Janka. Został z żoną, psami i Syberią.

Po jakimś czasie wylądowaliśmy w Jenisiejsku, w którym kiedyś na zesłaniu przebywał Lenin. Tu dłączyła do nas grupa Polaków, którzy byli zesłani właśnie do Jenisiejska. W tej grupie był Malinowski z żoną Marysią, byłego naszego naradczyka z obozu i szpicla /przebywa obecnie w Gdańsku/. W obecnej, podnisłej atmosferze, przebaczyliśmy mu to a nawet zaprosiliśmy do stołu. Wkrótce dotarliśmy do Krasnojarska, gdzie



czekał na Polaków oddzielny skład wagonów kolejowych, prawie już wypełniony Polakami z całej Syberii. Tu spotkałem Żyda, który pochodził z Białegostoku i nazywał się Sokolnicki. Podobno był kapitalistą i był moim sąsiadem. Cieszył się z powrotu do Polski. Cytował fragmenty z religii chrześcijańskiej jak np. "piekielne moce zwojował" oraz opowiadał liczne kawały o Żydach. Wreszcie zanucił nasz hymn, którego pierwszą zwrotkę odśpiewaliśmy wszyscy stojąc na baczność.

W sąsiednim wagonie jechała pani Hanka, miła szatynka, ubrana bardzo skromnie. Kiedy zapytałem, dlaczego jest taka smutna, skoro jedziemy do Polski odpowiedziała, że boi się Polski a dotychczasowe życie nauczyło jej pesymizmu. Przecież tu, na Syberii zostawiła swoje, najpiękniejsze lata. Wreszcie zaśpiewała smutną piosenkę naszych babek:

Schowaj mamę moje stroje  
Perły wieńce z róż,  
Piękne stroje, piękne szaty,  
to nie dla mnie już.

Była to piosenka jeszcze z okresu rozbiorów. Mówiło się w niej w dalszych strofach, że kiedy Polska została złożona do grobu, pozostał jedyny strój - czarna sukienka.

Zapanował smutny <sup>uśmiech</sup> (nastrój przerwał Władek, który ze swym kufereczkiem wpadł do naszego wagonu. Pokręcił się troszkę ale ulokował się w żeńskim przedziale, gdzie zainteresował się jakąś Warszawianką.

Przed odjazdem wezwano nas do biura i kazano oddać tymczasowe legitymacje, które mieliśmy przy sobie. Taka legitymacja oprócz zdjęcia zawierała podpisane przez właściciela zobowiązanie, że nie wolno nam opuszczać wyznaczonego rejonu.

czekał na Polaków oddzielny skład wagonów kolejowych, prawie już wypełniony Polakami z całej Syberii. Tu spotkałem Żyda, który pochodził z Białegostoku i nazywał się Sokolnicki. Podobno był kapitalistą i był moim sąsiadem. Cieszył się z powrotu do Polski. Cytował fragmenty z religii chrześcijańskiej jak np. "piekielne moce zwojował" oraz opowiadał liczne kawały o Żydach. Wreszcie zanucił nasz hymn, którego pierwszą zwrotkę odśpiewaliśmy wszyscy stojąc na baczność.

W sąsiednim wagonie jechała pani Hanka, miła szatynka, ubrana bardzo skromnie. Kiedy zapytałem, dlaczego jest taka smutna, skoro jedziemy do Polski odpowiedziała, że boi się Polski a dotychczasowe życie nauczyło jej pesymizmu. Przecież tu, na Syberii zostawiła swoje, najpiękniejsze lata. Wreszcie zaśpiewała smutną piosenkę naszych babek:

Schowaj namo moje stroje  
Perły wieńce z róż,  
Piękne stroje, piękne szaty,  
to nie dla mnie już.

Była to piosenka jeszcze z okresu rozbiorów. Mówiło się w niej w dalszych strofach, że kiedy Polska została złożona do grobu, pozostał jedyny strój - czarna sukienka.

Zapanował smutny <sup>uiny</sup> nastrój przerwał Władek, który ze swym kufereczkiem wpadł do naszego wagonu. Pokręcił się troszkę ale ulokował się w żeńskim przedziale, gdzie zainteresował się jakąś Warszawianką.

Przed odjazdem wezwano nas do biura i kazano oddać tymczasowe legitymacje, które mieliśmy przy sobie. Taka legitymacja oprócz zdjęcia zawierała podpisane przez właściciela zobowiązanie, że nie wolno nam opuszczać wyznaczonego rejonu.



W zamian otrzymaliśmy numerek, zapisany na skrawku papieru. Z takim to dokumentem przyjechaliśmy do Polski. Następnie na czelnik wygłosił pożegnalne przemówienie z którego wynikało, że Polacy są przyjaciółmi ZSRR. Nasz pobyt był naszą /Polaków/ krzywdą a winę za to ponosi Beria - Izmienszczyk /zdrajca/ rodziny. Ale teraz wszyscy będziemy wolni i że Polacy będą przyjaciółmi Rosjan.

Kasjer wypłacił każdemu z nas po 300 rb. kieszonkowego na drogę żartując, że to na papierosy bo na czas podróży jesteśmy na utrzymaniu rządu radzieckiego. Rozgoryczony zapytałem, kto nam zwróci za zrujnowane zdrowie i zwichnięte życie? W odpowiedzi otrzymałem przyjacielską radę, że w takich sytuacjach lepiej trzymać język za zębami. Wszystkie nasze krzywdy zostaną nam zrekompensowane przez nasz rząd, z którym władze radzieckie zawarły stosowne porozumienie.

Wiedziałem, że w takich sytuacjach lepiej zamilknąć. NKWD jest wszechmocną instytucją, w każdej sytuacji może przyszyć artykuł i zacząć się kłopoty.

Poszedłem, wraz z innymi, jak baranek, do transportu, zaciskając w garści numerek i 500 rb. To była zapłata za 12-cie lat więzienia i poniewierki.

Wiedzieliśmy, że my powracający jesteśmy jedynie częścią Polaków, którzy pozostali na zawsze na ogromnych obszarach Azjatyckiego lądu, gdzie panuje obłuda, fałsz i zakłamanie.

Kiedy byliśmy już w wagonach, zaczęli podchodzić do nas oficerowie NKWD z propozycją wymiany ich obligacji narodowych w banku na ruble. My, wyjeżdżający, mieliśmy prawo wymiany takich papierów wartościowych. W ZSRR państwowi urzędnicy, którym ta pożyczka została narzucona przymusowo chcieli wykorzystać tę okazję.

11-go grudnia 1955 r. nasz transport ruszył Koleją Transsyberyjską na Zachód. Był to transport specjalny. Na większych stacjach czekano na nas z posiłkami. Nas, siedmiuset Polaków eskortowało kilku oficerów NKWD z naczelnikiem.

Po drodze obserwowaliśmy zaśnieżony krajobraz i mieszkańców, wszystkich jednakowych: w waciakach i czapkach uszankach i smutne, woskowe twarze porane zmarszczkami. Niektórzy podchodzili do wagonów i kupowali walonki oraz inne ciepłe ubrania.

W transporcie odbywały się imprezy towarzyskie, w których chętnie uczestniczył Sokolnicki: sypał kawałami i śpiewał j. legionowe piosenki. Kiedyś powiedział do mnie, żebym nie zrażał się jego wyglądem, bo kiedyś znał go i považał cały Białystok. Zapewniał, że kiedyś o nim świat jeszcze usłyszy. Twierdził, że w Rosji skończył wyższe studia polityczne i nauczył się żyć.

Kiedy powiedziałem, że życie publiczne w obecnych czasach trudno pogodzić z moralnością odpowiedział: a od czego mam tę dużą, żydowską głowę?

W czasie podróży okazało się, że jest chory na serce. Na stacji w Nowosybirsku czekały na nas na stacji zastawione stoły, zasłane obrusami. Obsługiwały nas eleganckie kelnerki. Na niektórych stołach pojawiła się wódka z naszych prywatnych zapasów. I nagle z drugiego końca ktoś zaintonował legionową piosenkę zaczynającą się od słów:

Bracia, do bitwy nadszedł czas,

Trąbka do boju wzywa nas.

Śpiewali wszyscy. Zapomnieliśmy o naszej sytuacji, na stacji w Nowosybirsku. / Śpiewaliśmy wiele piosenek. / krótkie megafony



stacyjne zapowiedziały odjazd naszego transportu i musieliśmy udać się do wagonów. Towarzyszący nam NKWD-yści mieli wrogie miny i trzymali prawe ręce w kieszeniach płaszczy.

Jechaliśmy przez Omsk, Pietropawłowsk, Czelabińsk, Swierdłowski i do Uralu a następnie dotarliśmy do Moskwy. Uprzedzono że nie możemy wychodzić z wagonów, bo czeka nas bardzo krótki postój. Pociąg ruszył na południe. Przejechaliśmy Tułę i Kursk. Zaczęliśmy się niepokoić, bo u nich nigdy nie wiadomo. Byliśmy bardzo zaniepokojeni, gdy nasz pociąg zatrzymał się w Kijowie. Niektórzy przebąkali o ucieczce. Naczelnik transportu zapewniał, że teraz pojedziemy do Lwowa. I tak się stało. Tu również nie pozwolono nam wyjść do miasta, bo mamy ruszyć za chwilę.

W rzeczywistości staliśmy przez całą noc, a nasz pociąg często zmieniał tory. Ruszyliśmy dopiero rano. Jechaliśmy na zachód.

Staliśmy wszyscy przy oknach. Każdy myślał, jak nas powita ojczyzna. Na granicy do wagonów weszli "bojcy" i sprawdzili numerki, które były naszymi dowodami osobistymi, przeprowadzili szczegółową rewizję i wyszli. Pociąg przejechał granicę i wkrótce zatrzymał się na małej stacyjce. Wielu z nas rzuciło się na ziemię, by ją ucałować. Wkrótce zobaczyliśmy pierwszego żołnierza polskiego z orłem białym na czapce.

Niestety, żołnierze powitali nas sztywno i urzędowo. Dokonali pobieżnej rewizji i wyszli z pociągu. Było to nasze pierwsze rozczarowanie.

Miałem 43 lata. Wracałem do kraju chory i stary. Nie witały nas ani transparenty ani hymn narodowy. Traktowano nas jako element podejrzany o wrogość. Zostaliśmy posądzeni o wrogość

do Polski, dla której przecież przez tyle lat cierpieliśmy. Nie sądziliśmy, że rodacy będą od nas stronić, aby nie narażać się wobec władz.

Było to dla nas upokarzające. Znieśliśmy i to.

Przejechaliśmy Przemysł, zatrzymaliśmy się na podniejskiej stacyjce, gdzie mieścił się punkt repatriacyjny. Tu Sowieci oficjalnie przekazali nas władzom polskim. Sowieccy oficerowie odjechali samochodem, żegnani przez nas "nocnymi" słowami. Było to 31 grudnia 1955 roku. Nadchodził Nowy Rok.

Rozpoczęły się formalności. Każdy z nas otrzymał kartę repatriacyjną oraz darmowy bilet do miejsca przeznaczenia. Otrzymaliśmy też 1500 zł bezwrotnej pożyczki. Jednocześnie werbowano nas do pracy, polecając szczególnie kopalnie oraz inne przedsiębiorstwa na Ziemiach Zachodnich. Kto miał kontakt z rodziną, mógł jechać do rodziny.

Zdziwiło nas niepomieranie, że nie było komisji lekarskiej. Widocznie władze polskie uważały, że wszyscy bez wyjątku, przyjeżdżający z tamtej strony są zdrowi i nieśmiertelni.

Wieczorem spotkała nas b. miła niespodzianka - urządzono nam wieczorem przyjęcie noworoczne z orkiestrą z Przemysła. Przyjechały też panny z zakładów pracy i bawiliśmy się do rana. To nam nieco poprawiło samopoczucie. Uznaliśmy to za uśmiech ze strony władz.

Zdecydowałem się, że pojedę do rodziny w Karpaczu i tam rozpocznę nowe życie. Już na trzeci dzień miałem gotowe wszystkie dokumenty, pożegnałem się z kolegami i ruszyłem. Zostawał nas na punkcie repatriacyjnym w Żurawicy coraz mniej. Zostali tylko ci nieliczni, którzy w ogóle nie mieli rodzin lub stracili wszelkie kontakty.



Po całonocnej podróży dojechałem do Jeleniej Góry i tu zatrzymałem się w hotelu. Jeszcze ze stacji wysłałem do brata telegram z wiadomością, że już wróciłem i gdzie się zatrzymałem. Wcześniej, podczas pobytu w Przemyśle wysłałem telegram do mojej sympatii - Zosi. Mieszkała wówczas w Białymstoku.

W hotelu w Jeleniej Górze spałem bez przerwy cały dzień. Wieczorem obudziło mnie kołatanie do drzwi. Był to mój brat Marian. Na dole czekał szpagier, Andrzej, który przyjechał tu własnym samochodem. Pojechaliśmy natychmiast do domu. Miałem ze sobą skromny kuferek, w którym był złożony cały mój dobytek po kilkunastu latach pracy w ZSRR. W kieszeni miałem 1000 zł. Miałem też 43 lata na karku i krwawiący wrzód żołądka lub dwunastnicy.

W Karpaczu, miejscowości przygranicznej, zatrzymał nas patrol przygraniczny i sprawdził nasze dokumenty. Moje dokumenty przeglądano najdłużej. Po upewnieniu się, że jestem bliskim krewnym zezwolono na wjazd. Tu wszyscy mieszkańcy pogranicznych miejscowości musieli mieć specjalne przepustki.

Przed domem, w którym mieszkały moje dwie siostry stała grupka ludzi, znajomych sprzed wielu lat. Nagle jakaś ładna dziewczyna rzuciła mi się na szyję i zaczęła mnie całować. Okazało się, że jest to moja najmłodsza siostra, którą widziałem ostatnio jako małą dziewczynkę. Obecnie była mężatką i miała dwoje dzieci.

Oczułem się jak zmartwychwstały. Stół w domu był bogato zastawiony. Połączono uroczystość mojego przyjazdu z imieninami starszej siostry. Przyjęcie trwało do wczesnych godzin rannych. Było gwarno i wesoło. Wreszcie poczułem ciepłą atmosfery.

rę rodzinną.

Na drugi dzień zwiedziłem Karpacz. Mimo, że był w szczycie zimowej, wyglądał uroczo. Widok Karkonoszy i Śnieżki nastrajał wyjątkowo radosnie. Mieszkalem w pokoiku na górze. Był to piękny okres w moim życiu. Czułem się wreszcie wolny. Jeszcze teraz, po latach, gdy tam przyjeżdżam, od nowa przeżywam to samo. Czuję się tam tak, jakbym kolejny raz przychodził na świat.

Notował: S. Sianko.